

Podejrzana

Dojrzewanie pod słońcem Bałut to proces trudny i skomplikowany, także dojrzewanie pisarskie. Tomasz Włodkowski, były dziennikarz łódzkiego oddziału „Gazety Wyborczej”, prawie pół wieku przygotowywał się do napisania książki o okolicy, w której dorastał. Kwartał między ulicami Wrocławską, Limanowskiego, Zachodnią i Kominiarską był jej sercem. Sercem, które zapewnia tlen tej opowieści. „Zła dzielnica” nie jest jednak reportażem ani przewodnikiem (spacerownikiem) po okolicy. Nie jest też nostalgiczną pocztówką z przeszłości. I choć przechadzka po ulicy Limanowskiego mogłaby sugerować, że czas stanął w miejscu, to przecież autor nie jest już tym samym młodym chłopakiem, który oglądał filmy o Godzilli w kinie „Świt”, kolekcjonował nagrania zachodnich zespołów czy bił się w odgradzonym od świata zaułku. Jest dojrzałym facetem, który próbuje zrozumieć, co go ukształtowało.

Pod względem gatunkowym to chyba minipowieść. Piszę „chyba”, bo kto potrafi nazwać i opisać literackie gatunki w epoce mieszania form i literackich tradycji. Gatunkowy synkretyzm pozwala autorowi połączyć powieść o dojrzewaniu, małą rodzinną sagę i historyczny szkic, a dodatkowo wpleść w materiał tkany w fabryce Włodkowskiego wątki literackich odniesień. Singer (Izrael Jozua), Kafka (i jego przewiezione do Łodzi siostry), Dostojewski (jako autor „Biesów”)? Wszyscy są – jak na porządnym festiwalu czterech kultur. Kto jeszcze pasowałby do Bałut? Młodzi bohaterowie książki w jednej ze scen zadają sobie takie pytanie: Kogo z klasyków literatury warto byłoby poprosić o opisanie Bałut? Padają różne propozycje: Schulz, Hemingway, Caldwell, Steinbeck, a nawet Rilke. Nie sądzmy po pozorach – chłopaki z Limanki znają się na literaturze.

Autobiograficzne opowieści z dzieciństwa i młodości są być może trochę stereotypowe. Gra w piłkę, wyprawy do parku, prywatny sklepik z lizakami i czekoladkami, potem kolekcjonowanie płyt (skąd ja znam te wszystkie zespoły?), literackie i filmowe fascynacje, eksperymenty z alkoholem i marihuaną. No i oczywiście oranżada w butelce z porcelanowym kapslem na drucie, która często wyjeżdża na stół w literackich wspomnieniach z dzieciństwa (czasami zastępuje ją syfon albo saturator). Ciekawe i pisarsko odkrywczym jest splecenie tego wątku z historią Bałut, opowiadaną na podstawie książek i artykułów, ale też z losami konkretnych osób – niemieckiej rodziny Krollów i Weberów, która osiedliła się na Bałutach, i żydowskiego rewolucjonisty Arona Fajbiszowicza. Ich historie poznajemy na tle Historii z jej wszystkimi dramatycznymi zwrotami, przy czym perspektywa indywidualna – jak przystało na dobrą literaturę – dominuje. Żydowska rodzina ginie w czasie wojny, losy kolejnych pokoleń rodziny niemieckiej opowiedziane są aż do ślubu jednej z kobiet z... autorem książki. Takie wymieszanie wątków i gatunków, zaakcentowane nawet graficznym układem tekstu, pozwala podjąć główny temat książki.

Tematem „Złej dzielnicy” jest bowiem wpływ przeszłości na kształtowanie się naszych osobowości. Wpływ miejsc, ulic, budynków, bram i podwórek, przechowujących cudze życie, o którym możemy nie mieć pojęcia, a które i tak nas w jakiś sposób buduje i określa. Młodzi chłopcy z Bałut starają się uciec od szarości PRL-u w muzykę, film i książki, w hippisowskie mody i budowany ze zdjęć z zachodnich czasopism świat, ale jednocześnie odwracają się od tragicznej, ale fascynującej historii swojej dzielnicy. Historii, o którą potykają się i ocierają każdego dnia. Żyjąc na terenie byłego getta, włócząc się po dawnych cmentarzach i parkach należących kiedyś do łódzkich fabrykantów, kluczą i gubią się w tym zatartym bałuckim palimpseście, którego nie potrafią odczytać. Dopiero gdy zaczną dostrzegać znaki przeszłości, rozumieją, kim tak naprawdę są i co ich trzyma w tym miejscu.

Przy Bałuckim Rynku stoi dom. Rozłożył się między trzema ulicami jakby na wyspie. W czasie wojny mieściła się w nim siedziba Gestapo i policji niemieckiej Schuppo. Po wojnie na dole była apteka, a

na górze mieszkał mój kolega ze szkoły, chodził do klasy niżej, miał na imię Bogdan. Rodzina Bogdana nie była zbyt bogata, a mieszkanie duże, brakowało więc pieniędzy, by umeblować wszystkie pokoje. Jedno z pomieszczeń, największe, chyba to narożne, położone nad apteką, stało puste. Można było się po nim ganiać, a nawet jeździć na rowerze. Rodziców nie było w domu, wnieśliśmy na górę rower i pedałowaliśmy w kółko, wznosząc tumany kurzu, pokój był rzadko sprzątny, bo i po co, skoro nikt w nim nie mieszkał. Gestapowcy odbici w szarych ścianach gapili się na nas zdumieni, że tak wolno się zachowywać i wściekli, że nic nam nie mogą zrobić. Robili groźne miny chcąc nas przestraszyć, ale my nic sobie z tego nie robiliśmy, co najwyżej na złość im pędziliśmy po pokoju jeszcze szybciej. Żydowskie chłopcy dołączali do nas, biegnąc za rowerami, drwiąc ze swych prześladowców, śmiejąc się głośno zaglądali w oczy swym niedawnym katom.

Bałuty są palimpsestem jak mało które miejsce. To paradoks, bo wielu przeświecających przez siebie warstw historii spodziewalibyśmy się raczej w starszych miastach. A jednak to niespełna dwustuletnie Bałuty dla uważnego obserwatora są jak przekrój geologiczny odkrywany na ścianach kopalni piasku. Wie o tym każdy, kto próbował w gąszczu kamienic, domków i powstawianych między nie bloków (tych z lat 50. i tych bardziej współczesnych) odnaleźć przebieg pokreślonych, zanikających i odnajdujących się niespodziewanie uliczek (Starosikawskiej, Tokarzewskiego, Mianowskiego). Każdy, kto chodził na seanse kina szkolnego do „Halki”, a potem odkrył, że w czasie wojny był to żydowski dom kultury, w którym odbywały się akademie ku czci Chaima Rumkowskiego (dziś można iść tam na zakupy). Wszystko się zmieniło kilka razy, a przecież zmieniło się tak niewiele, może tylko: *bloki są bardziej szare, od początku nikt ich nigdy nie remontował, wyglądają jak porzucone na redzie statki, którymi nie miał kto się przez lata zająć i rdza wpełzła na nie jak robaki na padlinę. (...) Kamienice przygarbiły się, komórki rozchwiały zupełnie i podtrzymują się nawzajem jak pijacy późną porą wracający do domu.* Tak to opisuje Włodkowski, może trochę nadużywając porównań – jakby chciał nadrobić lata dziennikarskiej praktyki, gdy musiał się ograniczać do profesjonalnie rzeczowych tekstów.

Książka każe też zapytać o tożsamość Bałut i o ich relacje z Łodzią. Co wyróżnia tę złą dzielnicę? Chaotyczny rozwój, wielokulturowość, urbanistyczny bałagan, brud murów i bram, komórki i gołębniki, miejski folklor, Ślepy Maks? *Dzisiaj lubimy idealizować Bałuty. Opisujemy żydowskich gangsterów, przedstawiając ich jak Janosików (...) A to przecież dzielnica kurew, złodziei, morderców, stręczycieli i innych wszelkiej maści oszustów* – pisze Włodkowski, oczywiście od razu dodając, że mieszkali tam też ludzie porządni, dzięki którym dzielnica przetrwała. Przecież sam tam mieszkał (nadal mieszka) i jakoś te Bałuty polubił.

A może w DNA Bałut są też kompleksy przykrywane wynajdowanymi na wszelkie sposoby rekordami? Do 1915 roku były największą wsią na świecie. Mieści się tu największy cmentarz żydowski w Europie i największy miejski las, przez dzielnicę wiedzie trasa najdłuższej linii tramwajowej w Polsce. I tak dalej... „Manufaktura” też jest na pewno w czymś tam największa. „Manufaktura” jest na Bałutach? Według podziału na dzielnice, formalnie zniesionego w 1993 roku, ale wciąż obecnego w świadomości łodzian (i w tytule książki) – tak.

I tu dotykamy ciekawego zagadnienia: gdzie zaczynają się (lub kończą) Bałuty? Historycznie granica między Łodzią a Bałutami przebiegała trochę na północ od dzisiejszej ulicy Wojska Polskiego. Łódź była małym miasteczkiem, rozciągającym się na prawym brzegu Łódki (rejon Starego Rynku, placu Kościelnego, Podrzecznej, Wolborskiej). Kawałek dalej na południowy wschód istniał jeszcze folwark Stara Wieś, czyli starsza warstwa osadnictwa. Tak to sobie trwało przez 400 lat – do lat 20. XIX wieku. Bałuty w tym czasie to była karczma i parę chałup w lesie. Gdy Łódź zaczyna się rozrastać w kierunku południowym, na Starym Mieście powstaje dzielnica żydowska. Wkrótce jednak robi się za ciasna i rozwija się dalej na północ, w kierunku Bałut. Rozwój tej osady jest jeszcze gwałtowniejszy (a przy tym bardziej chaotyczny) niż rozwój Łodzi – na początku XX wieku żyje tu już 100 000 ludzi

(o ile ktoś zdołał ich dobrze policzyć). W czasie pierwszej wojny światowej Niemcy przyłączają Bałuty do Łodzi, w czasie drugiej – tworzą z części Bałut i starej dzielnicy getto. W latach 50. na Bałutach miały powstać nowe osiedla mieszkaniowe, które od Śródmieścia miały odgradzać pas zieleni z Parkiem Staromiejskim, co wzmacniało nowy podział – Bałuty zaczynają się teraz na linii Północna-Ogrodowa. Stało się więc tak, jakby to nie Łódź wchłonęła Bałuty, ale Bałuty wchłonęły Łódź (tę najstarszą). Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że opisany w „Złej dzielnicy” żywioł bałuckości rozlał się jeszcze dalej – czyż sklepiki na Nowomiejskiej różniły się od sklepików na Zgierskiej? Może więc opisany w książce Włodkowskiego fenomen pomoże wszystkim Łodzianom zrozumieć ich historię.

Piotr Grobliński

Tomasz Włodkowski jest również autorem książki "Noże", której akcja dzieje się na Wołyniu w 1943 roku i na ziemiach przyłączonych do Polski w 1945 roku.